

Dariusz Pawlicki

Przeciw literatom. O literaturze alternatywnej i pisarskiej uczciwości

Dopóki nie przeczytałem *Dziennika pisanego nocą* autorstwa Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, wyraz „literat” traktowałem jako synonim „pisarza”. Tak jak zresztą jest to prezentowane w kolejnych edycjach *Słownika języka polskiego* wydawanego przez PWN.

Z lektury wspomnianego *Dziennika* dowiedziałem się jednak, że Herling-Grudziński terminy „literat” i „pisarz” traktował rozdzielnie. Okazało się też, że nie był w tym osamotniony. Przytoczył na przykład fragment tekstu Elsy Morante, w którym ta sprawa została tak oto, zwięźle i jednoznacznie przedstawiona: „Nie należy mieszać pisarzy z literatami. Dla literatów, jak wiadomo, jedynym tematem ważnym jest, i zawsze była, literatura. Więc muszę tu zaraz ostrzec, że w moim słowniku codziennym pisarz (czyli przede wszystkim poeta) jest przeciwieństwem literata. Więcej, jedna z możliwych ścisłych definicji pisarza byłaby dla mnie wręcz taka: człowiek, któremu na sercu leży wszystko, co się dzieje, z wyjątkiem literatury”.

Nie wiem czy definicje „literata” i „pisarza” zostały w tekście Morante podane w szerszym kontekście, czy też sprowadzały się tylko do tego, co zawiera powyższy cytat. Natomiast Herling-Grudziński wspomnianą wypowiedź dopowiedział. Wyjaśnił bowiem, że słowo „literat” pochodzi od włoskiego *letterato*, co oznacza człowieka umięjącego „dobrze pisać” o wszystkim tym, czego od niego oczekiwali/zyczyli sobie panujący i wysocy dworscy urzędnicy, a w pewnych sytuacjach także niżsi.



Owi ludzie pióra gotowi do takiej właśnie „twórczości”, świadczyli usługi nie tylko dla włoskich władców, jak też rządów republikańskich epoki renesansu (do tego okresu nawiązuje, najprawdopodobniej, *letterato*). Zapotrzebowanie na nich istniało już we wcześniejszych epokach. Nigdy jednak nie mieli tyle pracy, co w państwach totalitarnych

XX wieku. Niewątpliwie wpływ na to miała ogromna wówczas rola słowa pisanego (w czasach nam współczesnych zastąpionego, w znacznej części, przez ruchome i nieruchome obrazy). A także to, że u źródeł tych totalitaryzmów leżały konkretne teksty, które następnie stały się ich „Świętymi księgami”.

Zdarzało się jednak często, że i w państwach demokratycznych powstawały publikacje inspirowane bądź wręcz zamawiane przez rządy, partie bądź inne organizacje społeczne; nie inaczej jest w czasach współczesnych. Z tego powodu ich treść była i jest niejednokrotnie uzależniona od tego, co w danej „chwili” zleciendodawcy uważali / uważają za dopuszczalne lub nie, do rozpowszechniania. Przykładem może być wpływ partii komunistycznych na życie umysłowe, kulturalne, społeczne w takich krajach jak Włochy i Francja w latach 40., 50., 60. i 70. ubiegłego wieku.

Wręcz wzorcowym przykładem pisarza w znaczeniu podanym przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Elsę Morante jest Michaił Bułhakow. Tym bardziej, że w rzeczywistości, w jakiej przyszło mu żyć (tajemnicą polisy-nela były jego negatywne poglądy na temat owej rzeczywistości), chęć pozostania pisarzem, czyli odmowa bycia literatem, miała konsekwencje nie w postaci zakazu druku, ale – najczęściej utraty życia. Lecz władza radziecka, a konkretnie Josif W. Stalin, nie upomniała się na szczęście o jego życie. Wciąż bowiem miała nadzieję, że będzie on pisał utwory chwalebne „dokonania” Związku Sowieckiego, a nie przedstawiające go w szponach szatana, jak to zostało zaprezentowane w *Mistrzu i Małgorzacie*. Niestety, wspomniana władza upomniała się, przykładowo, o życie Osipa E. Mandelsztama, który także chciał pozostać pisarzem, a konkretnie poetą, i pisać tak jak chciał, jak czuł.

Ale o ile Gustaw Herling-Grudziński „pisarzy” i „literatów” umieszczał na tle politycznym (przynajmniej w tym fragmencie swego ciekawego *Dziennika*, który stał się punktem wyjścia do moich rozważań), to ja w tym szkicu mam zamiar poruszyć, nieco inne, ale pokrewne sprawy. A na początku chciałbym wspomnieć o umizgiwaniu się literatów (wykorzystując słowo „literat”, podaję je, nie tylko w tym momencie, w znaczeniu podanym przez Elsę Morante), w przypadku pisarzy nie wchodzi to w grę, do wydawców, autorów piszących recenzje wewnątrzredakcyjne, krytyków, redaktorów

czasopism, przedstawicieli gremiów przyznających nagrody. To jest do tych środowisk opiniotwórczych, które, w zależności od swych potrzeb bądź przekonań, mogą promować bądź „niszczyć” (cudysłów odnośnie konkretnych przypadków nie zawsze jest wskazany) pewne utwory i pewnych autorów. Nie chcę jednak pisać obszerniej o wspomnianym umizgiwaniu się, jak i „niszczeniu”, i poprzestać na napomknięciach o nich. Natomiast zamierzam rozpisać się nieco szerzej o postawie wobec wspomnianych środowisk opiniotwórczych, którą znamionuje pewnego rodzaju obojętność. Dobrym jej przykładem jest postępowanie wielu przedstawicieli generacji ludzi pióra urodzonych w Stanach Zjednoczonych w latach 20. XX w. Choć należeli do niej również twórcy urodzeni nieco wcześniej i nieco później (posiłkuję się przykładem amerykańskim, a nie polskim ze względu na tamtejszą dłuższą historię wspomnianego przeze mnie w tym fragmencie zjawiska). Niezmiernie wielu było pośród nich poetów. Owi autorzy przynależeli do takich ruchów / nieformalnych szkół / kierunków jak, na przykład, Black Mountain College, nowojorska szkoła poetycka, grupa poetów skupionych wokół Roberta Bly’a. Najbardziej znane pośród nich, którego znaczenie nie ograniczało się tylko do literatury, to Beat Generation (na zachodnim wybrzeżu określane też mianem: San Francisco Renaissance). Do inicjatorów tego ruchu należeli Jack Kerouac, Allen Ginsberg, William Burroughs, Neal Cassady.

Zabarwiona dużą uczuciowością, erotyzmem, głosząca wyzwolenie od obowiązujących norm społecznych, nie stroniąca od wulgaryzmów (niekiedy nawet lubująca się w nich), czerpiąca wiele z mowy potocznej, twórczość beatników była nowością literacką w USA i nie tylko tam (w tym miejscu napomknę, tak dla porządku, że nie jestem miłośnikiem owej twórczości, jako takiej). Natomiast interesuje mnie konkretne zjawisko z nią związane. Ale nowością, równocześnie czerpiącą wzorce z amerykańskiej tradycji piśmienniczej. Odwoływała się bowiem, zarówno w sensie światopoglądowym jak i literackim, do twórczości Walta Whitmana, Ralpa Waldo Emersona, Henry’ego D. Thoreau. Do utworów niezmiernie bliskich temu pokoleniu, nie tylko przedstawicielom Beat Generation, należały wiersze Williama Carlosa Williamsa. Były one przy tym im współczesne, gdyż Williams zmarł w 1963 r.